

Indonezja Bali & Komodo & Flores 2010

1 listopad (poniedziałek) W Polsce Święto Zmarłych, a my po przylocie i rozlokowaniu się w hotelu kąpaliśmy się nocą w basenie. Woda ciepłutka. Nawet nam nie przeszkadzało, że zaczął padać deszcz. Też był ciepły. Oczywiście pękła (na powitanie) 1-sza butelka whisky. Tekst: Anna Swiba & Foto: Maciej Tomaszek "Toporek"

2 listopad (wtorek) Dzień aklimatyzacji i odpoczynku po podróży (a dla niektórych po wczorajszym wieczorze). Mieszkamy w miejscowości Kuta – jednym z głównych kurortów. Bali mnie nieco rozczarowuje – wyobrażałam sobie rajską wyspę, a tu szary, wulkaniczny piasek, hotel przy hotelu, od plaży oddziela te hotele wyłożona kostką brukową promenada i wybetonowany falochron… Z Toporkiem nie ma ani chwili luzu - popołudniu nauka surfingu – jakie to proste się wydawało na plaży! Jednak w morzu to już inna sprawa, ale po godzinie walki, obdartych kolanach (od wdrapywania się na deskę) coś tam zaczyna wychodzić… niektórym idzie nawet całkiem dobrze: Grzanka i Stach załapali całkiem fajnie… Trochę podobne do jazdy na snowboardzie, tylko cały problem, żeby wstać – potem to już idzie. No i zrozumieliśmy z Grzanką po co te koszulki – nie tylko, żeby słońce nie spaliło, ale także, żeby gołymi cyckami nie świecić, bo jak cię te fale przewracają, tą bikini łąduje na głowie… Po wysiłku, kolacja w lokalnym barze. Kalmary dobre, tylko piekielnie ostre, mimo, że zamawiane ‘medium’ – strach pomyśleć jak smakuje hot! I znów pływanie nocą w basenie. 3 listopad (środa) Bali Dzisiaj mój pierwszy nur w morzu – wrak USS Liberty. Kolorowo, ogromna ławica czegoś tam, barakuda duża szt.1. i szkaradnica. BOSKO! Podwodny świat tak mnie zachwyca, że zapominam co mam robić pod wodą i nie do końca panuję nad jacketem i nogami, ale jest BIG FUN! Dive Buddy: Paweł Instructor: Maciek Air: start-180, end-50, temp.31st. start:11:53 max.depth:23,80 total time:43

Air: start-200, end-50, temp.31st, start:13:59 end:14:50, max.depth:20m total time: 57 barakuda! Ławica caransów/trevali Tylko nie wiem czy zdążę się opalić, bo każdy dzień wypełniony na max-a. Dzisiaj 3h w podróży w 1str. i 3h z powrotem, a poza tym cały dzień w piance, pod wodą. 4 listopad (czwartek) Wycieczka po Bali Najpierw Besakih - świątynia świątyń (taka tutejsza Częstochowa), pięknie rzeźbiona w czarnych skałach po lawie wulkanicznej, smoki i inne stwory. Wszyscy (włącznie ze Staszkiem) dostajemy szmatki – trzeba sobie z nich zrobić spódniczkę, że ramiona gołe to nie problem, ale gołą łydką świecić nie można... Potem krater wulkanu w Batur (gdy przyjechaliliśmy zakryty totalnie chmurami, w momencie się odsłonił – jak tu się szybko wszystko zmienia). Po drodze jeszcze Monkey forrest, gdzie małpy włożą ci na głowę, jak nie dasz banana i targ w Ubut (handlowanie-targowanie) i na koniec świątynia zachodzącego słońca Tanah Lot. Mogło by być jeszcze piękniej, gdyby słońce nie zachodziło za chmurami. Wyczerpujący dzień - 12h wycieczki. Pogoda pochmurna, ale super, bo nas nie usmażyło na skwarek. Po drodze, w busie, również wiele opowieści co się może zdarzyć pod wodą – zaczynam się bać… ja jako niedoświadczony nurek jestem już nieźle wystraszona… na co mi to wszystko? 5 listopad (piątek) Przelot na Flores. Samolot jakby go McGuyver przed chwilą zmontował, ale doleciał. Lotnisko maleńkie, bez taśmy bagażowej, tylko beżowi donoszą do poczekalni. Cywilizacji brak – klimaty ‘afrykańskie’ – bida z nędzą. Fantastycznie! To 100 razy lepsze niż hotel All Inclusive! Zaskakujące, że na Bali klimat jest wilgotny, a tu gorąco i sucho, a to ledwie 700km dalej. Leniwy dzień, spędzony głównie na łózkach w Corner Barze, pierwsze spotkanie z Olą (właścicielką łódki, na którą jutro się okrętuujemy) i jej facetem-Sardinem, długie oczekiwanie na rachunek, krótka wizyta na targu rybnym i przejażdżka skuterami kawalkadą przez miasteczko do hotelu. Mieszkamy w pensjonacie „Bay View” właściciel jest Holendrem i podejrzanie dużo młodych chłopców u niego pracuje. Zaledwie kilka 2-os. pokojów, pięknie położone - na wzgórzu, z widokiem na całe miasteczko Labuan Bajo i zatokę. Zachód słońca niestety za chmurami, widziany z tarasu, rozmowy filozoficzne o miejscu i szczęściu w życiu. Aż z tych chmur o 20:00 ulewa – ściana deszczu, grzmoty, magicznie-metafizycznie… aż się nam zebrało na rozmowy o wierze i nastrój siadł… 6 listopad (sobota) Wycieczka po Flores.

Rozpoczęliśmy od wizyty na targu (dużo-tanio-Tesco). Lokalne klimaty: przyprawy, cukier, owoce, ryż, żywe i martwe kury… gwar, brud, dzieciaki chętnie pozują do zdjęć – szkoda, że nie mamy choćby cukierków… Przejazd przez lokalne wioski, wizyta w domowej bimbrowni (produkcja araku) i możliwość zwiedzenia chaty tubylców – skromnie, ale schludnie. Poczestunek świeżym kokosem. Potem przeprawa przez dżunglę do wodospadu, stromą, błotnistą ścieżką w dół. Kąpiel w wodospadzie wynagradza trud dojścia. W drodze powrotnej zaczęło lać – ściana deszczu! W ciągu kilku minut byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Schroniliśmy się w szałasie, w nadziei, że zaraz przejdzie. Suszenie przy ognisku jednak na niewiele się zdało (moja wielka radość, kiedy odkryłam kurtkę przeciwdeszczową na dnie plecaka!). Potem wyjście pod górę, przez dżunglę po deszczu: tj. w błocie – ślisko. Ale wszyscy cali i zdrowi dotarli do samochodów. W drodze powrotnej zakupy ananasów. Ludzie przyjaźni (w końcu pewnie rzadko się zdarza, żeby ktoś wykupił cały zapas ananasów), dzieciaki wszędzie chętnie

pozują do zdjęć. Wizyta u lokalnej szamanki, która wróżyła nam z fusów za kawę, cukier i papierosy. Była w tym magia: siedzieliśmy w przedsiionku jej chałupy a przez wejście wpadał snop światła, który wprost metafizycznie oświetlał naszą szamankę, która do tego światła czytała z fusów. I wyszło na to, że wszyscy OK., tylko ja i Maciek musimy wrócić na ‘big Cremony’ się odczarować… w sumie to się nawet cieszę – jest powód, żeby jeszcze raz pojechać!

Na koniec jeszcze wizyta w jaskini i powrót do pensjonatu z ciężkimi i śmierzącymi od nietoperzowego gówna butami. Grzanka wyrzuciła swoje klapki, ja z Bašką oddaliśmy do wyczyszczenia obsłudze hoteliku. To był dzień z wieloma atrakcjami, bardzo intensywny, ale do tego trzeba przywyknąć… wakacje z Toporkiem to nie leżenie palnikiem do góry… 7 listopad (niedziela) Leniwy poranek – chyba pierwszy raz obudziłam się sama z siebie przed budzikiem, mimo, że wieczorem posiedzieliśmy długo przy drinkach i muzyce na tarasie, obserwując zachód słońca. Rano zaokrętowaliśmy się na łódź „Lalunia”, właścicielką której jest Ola – Polka pochodząca z Bielska, od 6 lat osiadła w Indonezji, w związku z Sarinem – żeglarzem z Flores. Mają ślicznego synka, Tonyego, 10-miesięcznego, który jest niekwestionowaną gwiazdą wycieczki. Po rozlokowaniu się na łodzi zrobiliśmy pierwsze nurkowanie. Kolejna nowość dla mnie – skok w tył z łodzi na pustym jackecie i od razu zanurzanie. Trochę się bałam, ale dałam radę – nawet ciekawe uczucie. Jak już butla przeważa człowieka w tył, to się idzie w wodę robiąc fikołka. Ten pierwszy nur był taki na rozpywanie i przeciwiczenie zanurzenia ze skoku z łodzi – niezbyt głęboko (ok.14m), słaba przejrzystość (zmacona woda), tylko rafa – nawet mało ryb było. Mimo to dla mnie ciekawie. Pływałam w parze z Maćkiem, ale on się strasznie kręci bo wyszukuje zwierzków, więc na drugi nur zmiana. Po wynurzeniu (też ciekawe uczucie wypływa się na środku morza i czeka, aż łódka cię zbierze), wszyscy padli na decku. Jednak drzemka nie trwała zbyt długo, bo Toporek zarządził kolejne nurkowanie tak, żeby zdążyć się wynurzyć przed zachodem słońca, jak się zrobi ciemno. Drugi nur już głębszy (nawet do 27m), rafa większa i ładniejsza, trafiła się nam skrzydlica, piękne korale i ukwiały, ale zaczęło się ściemniać. W dodatku był trochę prąd, a ja jeszcze nie jestem oswojona jak się w prądzie zachowywać i trochę panikowałam – obawiałam się żeby mnie nie zniosło albo nie rzuciło na rafę – mam krótką piankę i podudzia narażone na otarcia, a takie urazy paskudnie się goją… Dodatkowo ‘telewizor zaczął śnieżyć’ tzn. zaparowała mi maska. Jestem dumna z siebie, że pod wodą wykombinowałam co rozbić – w sposób kontrolowany wpuściłam nieco wody i przedmuchałam maskę. Tym razem pływałam w parze ze Staszkiem – dobrze się mną opiekował i mi pomagał, a Maćka widziałam cały czas z przodu i taki układ wydaj się optymalny. Jak byliśmy pod wodą to na górze lało. Ale jak się wynurzyliśmy było już po deszczu. Potem szybka kąpiel, kolacja (pyszne lokalne żarcie nam kucharz serwuje!) i znów leżakowanie na decku. Aha – dołączył jeszcze do nas jeden Szwed – Michael z Goeteburga. Tylko gość na razie nieco onieśmielony i mało rozmowny. Może się rozkręci? A teraz stoimy na kotwicy i powoli wszyscy udają się w objęcia Morfeusza… 8 listopada (poniedziałek) Rano chcieliśmy zacumować do bojki, przy której stała mniejsza łódź. Zaczęło się niezbyt sympatycznie: pyskówką i odcięciem liny, po czym po negocjacjach Janki okazało się, że to para Polaków, którzy od lutego opływają świat dookoła na 8,5m łajbie o nazwie „Asia” (od imienia właścicielki Joanny, nie od Azji). Asia Pajkowska i Alex Nebelski okazali się niezwykle sympatycznymi ludźmi – spędzili z nami cały dzień (szczepiliśmy łodzie razem i staliśmy w końcu na jednej bojce). Zaprośiliśmy ich na nasz pokład na śniadanie, potem na obiad i zostali aż do kolacji częstując nas swoim czerwonym, australijskim winem. Dość nieprawdopodobna historia, żeby ‘in the middle of nowhere’ wśród tyłu indonezyjskich wysp spotkać Polaków. Poranne nurkowanie było OK. – trzeba było szybko zejść w dół, żeby uniknąć prądu. Przy drugim nurku, również w prądzie, pogubiłam się. Odruchowo zamknęłam oczy i nie widziałam co się dzieje wokół. Jak je otworzyłam i rozejrzałam się na boki nikogo koło mnie nie było. Ten nur był robiony w samo południe, była więc świetna przejrzystość wody – straciłam orientację i poczucie głębokości. Wydawało mi się, że wszyscy są dużo poniżej mnie, więc zaczęłam schodzić głębiej. I dalej nic. Ani widu ani słyhu towarzyszy. Czułam, że chyba coś jest nie tak, bo strasznie mi maskę przyciskało ciśnienie do paszczy i zaczęły mnie boleć zęby, jakby wszystkie plomby zaraz mi miały wyskoczyć. Przestraszyłam się. I wtedy dopadł mnie Staszek i pokazał mi na swoim komputerze głębokość: 38m! Wtedy dopiero się naprawdę przestraszyłam: czułam, że serce wali mi jak szalone i zaczęłam strasznie szybko oddychać. Do końca tego nurka już się czułam nieswojo. Tym bardziej, że były też prądy znoszące. Nawet przez chwilę Maciek wziął mnie na swojego oktopusa, bo by mi chyba brakło powietrza, albo wszyscy by musieli wcześniej wyjść z mojego powodu. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, ale strachu się najadłam… Po wyjściu na powierzchnie czułam się bardzo niekomfortowo (ból głowy, ucisk na uszy). Na trzeciego nura już nie poszłam. I dobrze, bo był trudny, w silnych prądach. Asia zabrała mnie swoim pontonem na snorkling na rafie przy brzegu. Jednak mam wrażenie, że tam głębiej pod wodą jest dużo ciekawiej i bardziej kolorowo, chociaż zastanawiam się czy jeszcze zejdę? Na razie za dużo emocji. Wieczorem, po zachodzie słońca, popłynęliśmy na plażę na ognisko. Sardin z chłopakami upiekli nam 2 ogromne ryby (carancha albo treval – Maciek nie jest pewien). A wieczorkiem znów siedzenie na decku z winkiem i muzyką. Relax. 9 listopada (wtorek) Jeszcze przed świtem nasi nowi znajomi odczepili się i odpłynęli. My na silniku

przepełniliśmy w inne miejsce. Miałam wątpliwości czy wchodzić na nura (po wczorajszej historii znów trochę lęku, wciąż przytkane zatoki), ale dałam się namówić, bo miało być płytko i łatwo. I było! Ten pierwszy nur dzisiaj był idealny na przełamanie się. Piękna rafa, delikatny prąd i najważniejsze: zajrzałam w oczy i pogłaskałam po skorupce żółwia wielkości miednicy!!! Boże, jaki on był śliczny!!! Lekko zadziwiony co to za stwory i czego od niego chcą, ale spokojny. Chwilkę się sobie poprzyglądaliśmy, a potem sobie odpłynął do swoich spraw. Piękny ten podwodny świat! A teraz znów leżakowanie na decku i muzyka Barry Whita. Zanurkowałam drugi, a nawet trzeci raz. I to już było za dużo. Zatoki mi замуrowało, a dodatkowo zatarłam sobie oko – zapuchło. Pod wodą było OK., a po wynurzeniu – dramat. Padłam spać o 20:00. 10 listopad (środa) Pierwsze nurkowanie odpuściłam z powodu oka. Ale na drugie, bardzo spokojne i płytkie (do 15m) dałam się namówić. I dobrze – bo miałam okazję pływać żółwiami i rekinami rafowymi. No i gigantyczne manty – tak ze 2m rozpiętości! Jedna przepłynęła mi nad głową – mogłam zobaczyć jej skrzela. No to chyba już widziałam wszystko. Jedyne, czego mi brakuje, to zobaczyć koniki morskie. Potem odpoczywaliśmy na decku, i dałam się namówić na trzecie – w ostrym nurcie. Maciek obiecał, że weźmie mnie za rękę. I dobrze – inaczej wynurzyłabym się po kilku sekundach. Gdyby nie to, że Maciek trzymał mnie za rękę (i chyba mu zdrętwiała od mojego uścisku), to bym nie popłynęła. Jak Roller-coster! Byłam raz z lewej, raz z prawej, raz nad raz pod Maćkiem, raz nogami w dół, raz głową… darłam się w aparat ze strachu, a przez głowę przelatowały mi wszystkie niecenzuralne słowa, które znam. Ale było super! Jak już się wynurzyliśmy oczywiście… Jednak sama się na coś takiego nie piszę… wieczorem miła kolacja z winem i do spania. 11 listopad (czwartek) Dwa poranne nury odpuściłam. Oko mi przeszło, natomiast potwornie boli mnie ucho – chyba odezwała mi się ta infekcja, co niedawno miałam. O dziwo, drugiego nura odpuścił także Toporek – spał na decku jak dziecko! Po prostu w końcu padł ze zmęczenia po blisko miesiącu pobytu tutaj oraz grubo ponad 300 nurów w tym roku. Nawet temu, co ma motorek w dupie w końcu baterijka się wyczerpuje. Ale za to potem poszedł pod wodę z jednym z chłopaków z obsługi statku. Młody strasznie zajawiony – nie ma chyba jeszcze 18 lat, ale strasznie chce zostać dive masterem w przyszłości. Maciek postanowił zrobić mu kurs za darmo między naszymi nurkami i dać uprawnienia. Podoba mi się Toporka pozytywistyczne podejście do sprawy: jak chłopakowi tłumaczył, że w nurkowaniu chodzi o pasję a nie o zarabianie pieniędzy, wszystko przyjdzie z czasem. Na trzeciego nura poszliśmy już wszyscy razem. Tym razem rafa była inna – jak dywany, podwodne kobierce. Raczej płasko, bez skał, ale za to bardzo kolorowo. Jeden anemon postanowił zrobić filmową karierę i wystąpił w naszym filmie. Maciek kręcił kamerą, a on(a?) pływał mi przed maską, jakieś 10cm od oczu!!! Nieprawdopodobne! A po nurkowaniu popłynęliśmy na małą plażę na wysepce – biało-czerwony, drobnutki, koralowy piasek i cudowny zachód słońca. Niestety moje ucho boli coraz bardziej. 12 listopad (piątek) Ostatni dzień nurkowy. Poranne nurkowanie znów odpuściłam, bo miało być w silnym prądzie i głębokie. Zeszli aż na 50m. To nie dla mnie (jeszcze nie). A poza tym rano ucho bolało. Za to mogłam nieco dłużej pospać. Na drugie, ostatnie już na tym wyjeździe poszłam. Było płytkie, bardziej nastawione na małe zwierzaki, miejsce bez koralowców. Właściwie to nuda po tym, co już tu widzieliśmy przez cały tydzień. Ale tak trzeba, żeby się dobrze zdekompresować zanim wsiądziemy do samolotu. A to już jutro rano. Ostatni nur zaliczam do najmniej udanych – ucho bolało, walczyłam cały czas z cieknącą maską (chyba mi gdzieś włosy podeszły – nie przylegała dobrze i co drugi wydech robiłam w maskę. No i zmarzłam. Za to później popłynęliśmy łodzią na dwie przepiękne plaże i na wyspę Rincia oglądać smoki z Komodo czyli jaszczury blisko spokrewnione z dinozaurami. Ostatnie takie żyjące na Ziemi kuriozum. Wyspa przypomina „Jurassic Park”. Polowanie z aparatami foto było bardzo udane – w sumie widzieliśmy ze 4 szt. przy kuchni w rezerwacie i potem jeszcze, spacerując 5km trasą po parku, natknęliśmy się na kolejne 3szt. oraz bawoły, mały i jelenie. Po powrocie do obozowiska, pijąc piwo na tarasie, zaobserwowaliśmy kolejne sztuki. Nawet już w drodze na przystań pojawił się kolejny stwór. Wcale nie wyglądają na groźne – raczej na zmęczone. Leżą sobie ze śmiesznie wykręconymi do tyłu łapkami i tylko łypią okiem. Ale ukąszenie warana może zabić – mają w ślinie 60 rodzajów bakterii (w tym sepsę). Ukąszony bawół pada w ciągu 3-4 dni. Na człowieka nie polują (bo podobno za wysoki), ale przypadkowe ugryzienie może podzielać tak samo jak na bawoła. Wieczorem, już w ciemnościach, dobiliśmy do Labuan Bajo. Ostatnia noc na łodzi ‘Lalunia’ i jutro rano na lotnisko, do samolotu i na Bali. A pojutrze do domu. Plecy nieco pieką, ale wreszcie czuję się opalona. Manicure i pedicure – gruzy. Na paszczy od słońca, wody i kremów jakieś syfy powyłaziły, nogi zarosły, że wstyd. Pani Beata się załamie… Ale już pojutrze wracam do cywilizacji i zrobię ze sobą porządek. Spakować się nie mogę, bo pianka i jacket jeszcze mokre, a to idzie na spód torby, więc dopiero jutro rano. 13 listopad (sobota) Powrót na Bali. Samolot miał fal-start, więc się trochę zdenerwowałam, ale dolecieliśmy bezpiecznie. Potem do hotelu i właściwie każdy robił co chciał: Maciek, Grzanka i Staszek poszli na surfing, ja na shopping. Basia koniecznie chciała jechać do Ubud po kawę Kopi Luwak, ale ostatecznie ona i Janka też szwendały się po sklepach Kutu. Nakupiłam mnóstwo rzeczy (w tym 2 torebki), że ledwo się teraz mogę spakować. Wieczorkiem jeszcze kolacja i kąpiel w basenie z whisky i znów ulewa. 14 listopad Leniwy poranek, pakowanie, potem jeszcze wizyta w CH z Grzanką i ostatnie zakupy. Chciałam wypłacić jeszcze trochę rupii, ale niestety

bankomat zeżarł moją kartę! Więc biegusiem do hotelu wykonać telefon do banku i zablokować kartę. Poleżałam jeszcze nad basenem hotelowym, poopalałam się, ponudziłam. A na koniec ‘wisienka na torcie’ – masaż w przepięknym SPA nad brzegiem morza. Maksymalne dopieszczenie! Jak banda Rumunów stłoczeni z bagażami w jednym pomieszczeniu, przebraliśmy się i już mieliśmy wyjeżdżać na lotnisko, kiedy zorientowaliśmy się, że brakuje Staszka. Podobno poszedł na masaż, to mogło go wciąć na dłużej… Już został opracowany plan awaryjny, że jedziemy na lotnisko, a Paweł przyjedzie do hotelu i będzie czekać, ale zguba się znalazła. Wparował do hotelowego lobby w rozchełstanej koszuli, z uśmiechem na twarzy. Nie daliśmy mu już czasu na kąpiel i przebranie – w takim stroju i w klapkach pojechał na lotnisko. Odprawa trochę trwała ze względu na nasze przeładowane bagaże, ale wszystko się udało (poprzednia grupa musiała zostawić po 10kg) i wylecieliśmy w podróż powrotną do Polski. Ania, Gzanka, Basia, Janka, Staszek, Michael, MaciekEKIPA NOTOTENIA - KOMODO 2010 NURKOWANIA ANIA: USS Liberty Bali x2 25,8m 45min, 16,9m 58min 6.11 Bidadari 15m 53min, Gililawa Darat 27m 43min 7.11 Castle Rock 23m 45min, Crystal Rock 39m 36min, Lighthouse 24m 42min 8.11 Passage Kecil 23m 57min, Passage Besar 25m 53min, Tanjung Komodo 24m 52min 9.11 Batu Bolong 40m 41min, Karang Makasar (manty) 17m 47min, Siaba Kecil 24m 39min 10.11 Tatawa Besal 21m 43min, Tatawa Kecil 24m 51min, Mauan 28m 55min 11.11. Pengah 50m 48min, Wainilu 18m 49min